

IERZ CZETWERTYŃSKI



# NA WOZIE I POD WOZEM

WSPOMNIENIA Z LAT UBIEGŁYCH

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

tytuł Jerzy Dreyfus

WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI

# NA WOZIE I POD WOZEM

(1837—1917)

WSPOMNIENIA Z LAT UBIĘGLYCH  
WNUKOM I WNUCZKOM OPOWIEDZIANE

Z 12 ILUSTRACJAMI



POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA



WŁODZIMIERZ CZETWERTYŃSKI  
W CZASIE PISANIA PAMIĘTNIKÓW

S Y N O O J C U

NAPISAL

SEWERYN CZETWERTYŃSKI

Gdy siedząc przy biurku wspomnę mego Ojca i podniosę wzrok w górę, to trafia on w Jego portret, w Jego oczy skierowane wprost na mnie, patrzące prosto w moje oczy, a przez nie do serca i duszy. Wyraz tych oczu jest tak żywy i tak wiele mówiący, że wywoływał on stale i wywołuje dziś jeszcze pytanie: Co oczy te, tak pełne ukochania i troski chciałyby wypowiedzieć, co wspomnieć i przed czym przestrzec? Miałem zawsze jakby odczucie, że oczy te chciałyby wypowiedzieć to wszystko, czego usta nie zdołały, nie potrafiły, a może tylko nie zdążyły, pomimo długich lat, wypowiedzieć za życia. W oczach tych tak dobrych i tych samych, które się miało przez tyle lat przy sobie i nad sobą, daje się wyznać wyraz żalu, nie tylko za minionym czasem, za bezpowrotnie ubiegłymi chwilami, ale jeszcze żal, że czas przechodził i że wreszcie przeszedł, a że wszystko, co ojciec synowi, a syn ojcu winni byli sobie powiedzieć i co wyjaśnić, nie zostało wyjaśnione, nie zostało nawet wypowiedziane.

Cóż to było zatem to milczenie? Jakież to przymus nakazywał Ojcu milczeć, zamykać w sobie, zatrzymać dla siebie, doświadczenie długiego i bogatego życia, a wypływającą z nich naukę nawet własnemu dziecku nie wypowiadać?

\*

Ze wszystkich zagadnień, które dziś przedstawiają się nam jako zagadnienia pełne wielkiej wagi dla przyszłości narodu, najbardziej dręczącym jest jedno z nich, a mianowicie zagadnienie dzisiejszego kształtowania się społeczeństwa, rozbudzania się w nim i tworzenia, poglądów i opinii.

we słowa bez treści, a w umysłach zaszczepia coraz to nowe poglądy bez gruntu?

Skąd ta twórczość bez pochodzenia, bez myśli i bez planu, która tworzy aksjomaty, wygłasza nowe dogmaty, mające być niewzruszalnymi, nowe przykazania narodowe o mocy ewangelii, a które znów z kolei tak prędko kruszeją, rozpylają się, ustępują, giną aby z kolei dać miejsce jeszcze nowszemu, jeszcze świeższemu.

Niewątpliwie, jeżeli tak jest, to przyczyny tego stanu rzeczy trwają od dawna. W każdym razie nie powstały wczoraj. Niedojrzałość, to skutek braku słońca nie tylko przez jedno lato, nie tylko przez jedno pokolenie. Wielkie przemiany społeczne, które przez wiek 19-ty przerobiły Narody zachodu Europy i tworzyły inny gatunek ludzi od tego jakim był poprzednio, zachowując narodowego ducha, a dając mu inną moc, dokonały tej pracy wewnętrznej nad sobą, przez ciąg dwóch i nawet trzech pokoleń. Jeżeli praca ta osiągnęła istotny skutek, to właśnie dla tej przyczyny, że przyjęły w niej udział, udział nieprzerwany, trzy pokolenia. Od rewolucji francuskiej, od wysuniętych przez nią ideałów wolności, równości i braterstwa, a tak samo od Pitta w Anglii, od Steina, Hardenberga, Neumana i Fichtego w Niemczech, od myślicieli, polityków i pisarzy rozwinął się trud, który trwał długie dziesiątki lat. Przeszło kilka pokoleń, z których każde przekazywało następnemu swój dorobek i swoje doświadczenie, aby ono otrzymując je dno, wzbogacało się jednocześnie w to drugie. Jakis instynkt zdrowy i rozumny dbał, aby z tego doświadczenia i z tej wiedzy politycznej o wspólnym życiu Narodu nic nie uronić, jakby w przewidywaniu, że wkrótce boje między narodami nie będą się odbywały od czasu do czasu, ale że będzie to bój codzienny i o każdy kęs chleba. Jakis rozum stanu nakazywał wychowanym w ten sposób pokoleniom, zaprzestać rozpoczynania swego życia od burzenia i rozwalania

#### 4 NA WOZIE I POD WOZEM

Sądze, że dręczy ono powszechnie nasze sumienia, bo po prostu nie wiemy jakim jest dzisiejszy rozwój społeczny Narodu. Wiemy, że Naród nasz trwa lat tysiąc, że jego kultura, tak odrębna od innych, która wytworzyła odmienny typ człowieka, trwa lat 700, a nie wiemy i nie umiemy sobie przedstawić jakie będzie, własne nasze społeczeństwo w niedalekiej miodzie, że przyszłości. Czy zachowa ono ten sam typ? Czy utrzyma ten sam grunt wierzeń, te same podstawy zasad życia, ten sam gatunek spoistości narodowej, jaki istniał dawniej? Wreszcie czy jego spójnia moralna będzie ta sama, tak samo, jak dziś żywa i silna?

Gdyby ktoś zapytał się nas, czy droga rozwoju społecznego jest w Polsce zdrową, czy zapewnia ona krzepienie świadomości narodowej, czy utrzymuje zdrowy instynkt, czy rozjaśnia i rozszerza horyzont myśli zdrowej i uczciwej, — nie umielibyśmy na to pytanie dać ani pełnej, ani wyraźnej odpowiedzi.

Wiemy bowiem, że wady dziedziczą się łatwiej od cnót.

Złe skłonności przechodzą z rodziców na dzieci szybciej od dobrych. Dla dobrych potrzeba rozumnej pieczy i stałej troski o ich utrzymanie i o ich rozwój. Złe przechodzą i rozwijają się same. To samo, co w rodzinach, dzieje się w społeczeństwie. Coraz częściej dają się słyszeć głosy, w miarę, jak praca publiczna ogarnia szersze rzesze Narodu, że Polak dziesiętny, to akurat ten sam Polak sprzed wieków, swarliwy i popędliwy, prędko zapalny i szybko stygnący, przeważnie lekkiej myśli i dopiero, po szkodzie, mądry. Jesteśmy coraz częściej świadkami działań i nieodjrzałych i nierozważnych. Mimowoli rodzi się w naszym umyśle zapytanie, do siebie samych skierowane, co jest istotną przyczyną trwania tej niedojrzałości? Skąd rodem jest, zmieniając słowa poety „ta fatalna siła, która żywemu na nic? Skąd rodem to usposobienie dzieciinne, które wkłada nam w usta coraz to no-

snego życia rodziców przed dziećmi w chwili, gdy te, w życie czynne same wchodzi. Nie chodziło w tej sprawie ani o wyliczenie grzechów, ani o kajanie się. Ale chodziło o coś więcej, aniżeli: Kochaj Boga i bliźniego, kochaj kraj i ziemię ojczystą. Albo o przestrógę: Unikaj złych ludzi, hamuj się, miarkuj się, uważaj. Nie chodziło, rzecz prosta o przestroagę, która miałaby hamować zapal, lub wypychać bogaty umysł, czy gorącą duszę w szablon rodzinny czy stanowy, ale tej przestrogi rozumnej, tłumaczącej i wyjaśniającej czym jest i czym powinien być Polak w tym turnieju sił nieprzebranych i nieprzeliczonych, które go jutro, lub pojutrze wciągną do walki. A walka może być dziś tu, jutro tam. Może być walka w otwartym polu, w szyku, ale może być w okopach i bez broni. Może być w każdym domu zamienionym na posterunek. Dawniej zaprawiano swoje potomstwo do sztuki wojennej, pokazywano, jak podejść, jak podchodzić, jak rąbać, jak szyk utrzymać. W domu widniały byczone przodków, na które wnuki, prawnuki patrzyli z dumą, z wiarą, że i oni potrafią kiedyś zdobywać i zwyciężać.

Gdy przyszedła kolej na walki innego rodzaju, dziwne trudne wydały się one Polakom. Zapal bojowy umiał ich nie tylko pchać naprzód, ale i hamował sam przez się ich kłótniwość i niesforność. Zastępował nawet przyrodzone lenistwo myśli. Walki polityczne wymagały zaś zastanowienia się, skupienia umysłu, pracy myśli, żądały więcej charakteru, aniżeli odważy. Lata upływały, a nie rozumiano, że nawet życie codzienne jest walką i że polityka jest niczym innym, jak również walką, której wynik, tak, jak i na polu bitwy nie jest z góry do przewidzenia, ale, że może być on tak jak w każdej innej walce wytknięty, ob rachowany i osiągnięty — swoją własną wolą, swoją własną pracą. Byłoby wszystkie czynniki, uczestniczące w walce były mi znane, byłoby warunki, w których ta walka się toczy były mi wiadome, byłoby wre-

## 6 NA WOZIE I POD WOZEM

tego, co było przed nimi. Odrzucone zostało to nieodowne signum nastawiania nowych czasów, nowych idei i nowych władców, imperatorów i zwycięzców. Potworzyły się wówczas szkoły, szkolące i wychowujące, budzące wolnego ducha, rozwijające wolną myśl, a tworzące ten sam typ człowieka, ten sam typ obywatela. Zbliżyły one ludzi do siebie, układając stosunki współzycia i współpracy, niezmiennie na długie lata.

W Polsce od długich wieków, każde nowe pokolenie szło w świat bez rodzica, a więc same sobie oddane. Dziś jeszcze tak samo wychodzi na świat same i to nie tylko o własnych siłach, ale i o własnej wierze. Przeto nic dziwnego, że budować chce od podstaw, chce przebudowy, pragnie przerobienia odgruntu. We wszystkich swych poczynaniach uważa za konieczne zakładać fundamenty pod inną, nową Polskę. A jeżeli tak czyni, to dlatego, że nie odczuwa w sobie żadnego spadku, nie odczuwa wyposażenia w dorobek polityczny, w dorobek myślowy poprzedzających pokoleń, nie przyznaje się, a nawet wydzających pokoleń, — a czyni to dlatego, że piera spuścizny po ojcach, — a czyni to dlatego, że są to tylko doświadczenia, a nie zdobycze, że są to kłeski, a nie zwycięstwa, że są to zawody, ofiary krwawe, lecz bezpłodne.

Ale i to pokolenie, a raczej pokolenia, mające przekazywać i mające wyposażać, dziwnie nieśmiało to czyniły, albo nie czyniły wcale. Nie wiedziały jak uczyć i czego uczyć! Daleko było im do dumy, że coś przekazywać mogą. Honor — dobrze, ale jakżeż drogo okupiony. Dobre imię — zgoda, ale czemuż nie powszechne! Nie biła z tych pokoleń wiara, że to co przekazują jest spuścizną bogatą, że to zasób mądrości i rozważa, że to katechizm postępowania na wszystkie trudne dni, na wszystkie przewidziane i nieprzewidziane wypadki.

To, co odczuwałem osobście, ale odczuwałem za siebie i za innych, to brak rozumnej spowiedzi z wła-

## 8 NA WOZIE I POD WOZEM

szcze myśl moja nie trwała pół godziny, byleby zamiar nie powstawał z dziś na jutro i wreszcie, abym sił nie mierzyl na zamiary.

Niestety, w tym samym wieku, w którym Narody, posiadające swe własne państwo i prowadzące byt niepodległy przekształcały się i przerabiały na narody współczesne, to w Polsce pod wpływem doznanych zawodów, pod wpływem, że istniał tylko organizm narodowy, a państwowego nie było, a umiejętności organizowania narodu poza państwem była rzeczą nieznaną, zakwitł mesjanizm i mistyczna wiara w przeznaczenie Narodu, który osiągnie swój byt niepodległy nie przez bój, nie przez pracę, ale przez cierpienia.

Straż u grobu Polski wiernie trzymała poezja i, jeżeli Krasński modli się o dobrą wolę w Narodzie, a jej nie było, to znowu dla tej samej przyczyny, że kto nie słucha za młodu rodzica, a rodzic milczy przed synem, to muszą młodzi wołać na starszych, aby im ustąpili z drogi, a starsi ustępują, mówiąc do siebie: „Ustąpmy im tą Straż u grobu, bośmy się już nastróżyli!”

Tymczasem to przekazywanie dziedzictwa, to nauczanie czem ono jest, z czego się składa, z jakiego ciała i z jakiego ducha, to kierowanie, jest obowiązkem z zasady. Wpływa z logiki dziejów, z natury człowieka, z potrzeby trwania instytucji i praw, wreszcie z trwania zasad działania. Każde pokolenie winno być nauczycielem i wychowawcą następującego w życiu politycznym i publicznym. Jeżeli powyższa zasada nie jest rozumiana i z tych, czy innych powodów nie jest stosowana, odbywa się każdorazowo rewolucja, a przynajmniej czynione są próby wywołania jej i dokonania.

Jeżeli sięgnąć wstecz, to ten niernormalny proces sięga jeszcze przedrozbiorowych czasów. Już w wieku 17-tym dziwnie się nie klei w Rzeczypospolitej. Zastanawiała mnie zawsze treść kazań sejmowych

Skargi. Badania historyczne nie dostarczają dostatecznego materiału obciążającego, aby z ust kano-dziei padaly tak ostre słowa, aby posłom i senatorom wobec króla i dostojników stawiane były tak ciężkie zarzuty, aby im rzucano w twarz tak groźne i złowieszcze przepowiednie. A jednak musiał Skarga posiadać umiejętność czytania w sercach i sumieniach ludzkich, musiał on dostrzegać większe i głębsze zło, aniżeli nam dostarczyła prawda historyczna. Duch publiczny i rzetelna miłość Ojczyzny musiały słabo się tlić w sercach ludzkich. Skarga dostrzegł to zło, które się już gnieździło w duszach, które rodziło piękne i zacne słowo, a już fałsz odbijało we „własnym puklerzu!” Już wówczas musiały młode pokolenia mieć słabe, a nawet złe wzory w ojcach, a ci znowu uganiający się za stanowiskami, ubiegający się o łaski królewskie, zdobywający majątki „prawem czy lewem”, to przecież źli nauczyciele i bynajmniej nie dobre wzory publicznej służby.

A dalej! Czy nie zastanawiającym i nie pobudzającym do głębszej analizy materiału ludzkiego, na czele którego Jan Sobieski gromił Turków i Tatarów i z którym wykonał, według słów Stanisława Tarnowskiego „swój europejski czyn”, że jak on, tak i jego żołnierze zeszedli z tego świata bezpotomnie? Z nich wszystkich nie wyrósł przez cały wiek 18 ani jeden mąż stanu. Na arenie życia publicznego nie pojawił się żaden świątelszy polityczny umysł. Przez czasy saskie jedni służyli Augustom, boć to przecież legalni i wolą narodu wybrani królowie, drudzy zaś biadali, nie mając ani dosyć stałości charakteru, ani dosyć odwagi, aby rozszerzaniu się zła skutecznie zapobiegać.

Toteż to ostatnie niepodległe pokolenie ludzi przedstawia się nam dziwnie rozbite, dziwnie nieumiejące czynić nic innego, jak tylko szukać pomocy u obcych i wzorów postępowania również u obcych.

Dziwnie nie umie ono odnaleźć w sobie choćby cząstkę ducha własnych dziejów. Zatraca przywiązanie do swoich, do swojej ziemi, do swego języka i zwyczajów, które tak szczerze i pięknie wyśpiewał Jan z Czarnolasu. Natomiast bardzo łatwo przyswajają sobie i ducha rewolucji i jakobinizm, później poddaje się wpływom masonerii, a wreszcie duchowi idącemu od Wschodu, jakby to wszystko było lepsze, rozumniejsze, mądrzejsze od tego co było w Polsce i ono jedynie mogło pomóc w utrzymaniu Ojczyzny.

Gdy Polska zanikła w sercach i sumieniach swych synów a zawisła jedynie na ich ustach, to pomimo pięknych i szlachetnych wystąpień, a tych nigdy w Polsce nie brakło, pomimo prób ratowania honoru Polaków i pragnienia zachowania choć drobnej części ojczystej ziemi, musiało nastąpić to co się stało! Pokolenie, które nastąpiło po pokoleniu rozbiorowym, dziwnie okazało się słabym. Słabym przede wszystkim, bo czuło żal do swych rodziców, a żal to jeszcze nie wskazówka działania, a tylko pragnienie by inaczej czynić, jak ci, którzy ztratili Ojczyznę.

I od tej chwili zaczyna się okres dziejów, który można nazwać najtragiczniejszym, bo punktów stycznych między pokoleniami, już nie to, że nie było, ale być nie mogło. Jedno po drugim rzuca w twarz ustępującemu: zdradziliście, nie potrafiłście. Jedno po drugim boleśnie i krwawo doświadcza, a nie nabiera doświadczenia. Na wojnie, na szubienicach, w katorgach i na emigracji giną najlepsi synowie narodu, najdzielniejsi, a z żywych najbardziej żywi! Pozostają słabi, nieudolni i niedołężni.

Gdy walka jest wygrana, ofiara choćby najkrwawsza przynosi owoce. Z jednego, powstają tysiące w następnych pokoleniach. A w Polsce wiek 19 od początku do końca to długi szereg przegranych i tym samym ciągle obraz tarę i niezgody między tymi, którzy nie mieli kogo naśladować i za kim iść. Jedni odrzucali wzory patriotyzmu, który umiał bić się za cudzą sprą-

wę, a sam do zrozumienia swojej własnej sprawy nie dorósł. Innych upajała chwala oręża i poniekał nasycała ich głąd patriotycznego czynu. Nad istotnym wskrzeszeniem nie tylko Polaki, ale i Polaka nie było komu pracować. Ale do poznania istoty sprawy narodowej, do zrozumienia jej pełni, potrzeba myśli, a myśl nie rodzi się odradu. Myśl polityczna wymaga nie tylko nasienia, ale i uprawy. Uprawy umysłu, głębokiego przeorania sumienia, a wreszcie potrzebują Siewcy. Wtedy myśl polityczna kiełkuje i rozszerza się, rozrasta i zyskuje zaufanie. Myśl ta nie może wyrostać, nie może wychodzić z doznanego zawodu. Zarządy takie, jakie przeszli Polacy przez wiek 19, to nie szkoła umysłu i nie szkoła charakteru, a również nie właściwy materiał do hartowania woli. Zawody takie łamią, albo nadlamują ludzi. Człowiek nie przechodzi dwa razy lat młodych. Pierwszego zapału do czynu, pierwszego żaru duszy nie odczuwa dwa razy. Życie po doznanym zawodzie można rozpocząć na nowo. Można na nowo odbudować dom, stworzyć sobie nowy warsztat pracy, wynaleźć nowe pole działania, ale nie można odbudować pełnej wiary w siebie. W naturze człowieka, po doznanym zawodzie, pozostaje lęk i lęk ten powstaje i rozwija się najsilniej u tych, co głębiej czuli i silniej wierzyli. A klęskę odczuli i za siebie i za swój Naród. Już biorąc historycznie od początku Księstwa Warszawskiego spotykamy typy psychiczne polskie nowe i nie podobne do poprzedzających. Z jednej strony bardziej patriotyczne, skłonniesze do ofiar i do czynienia ofiary z siebie i pod wpływem klęsk narodowych bardziej rozważające co czynić. Ale to zastanawianie się, ta reakcja na to, co się dzieje przed ich oczyma, jest niezdrowa. Niema opanowania siebie, a przecież ono dopiero pozwala opanować całe pole działania i umożliwia opanowanie nadchodzących wypadków, przynajmniej w tej części, którą ja sam, ja, jako zbiorowisko społeczne,



ja, jako Naród winienem mieć we własnym ręku, we własnym sercu i sumieniu.

Chorobliwość psychiczna typów, które się pojawiają, polega na liczeniu się z okolicznościami i warunkami i uznaniu tych okoliczności, jako wstępu do działania. Stąd mamy stosunkowo długie okresy bezczynności i spore zastępy ludzi bezczynnych z przekonania, bezczynnych, bo to nie chwila, nie dziś, jutro będzie odpowiedniejsze. Nawet znajdują się tacy, którzy uważają i tłumaczą, że są bezczynni z wewnętrzznego patriotycznego nakazu.

\*

Zdawałoby się, że jeżeli powyższe objawy spotykamy z początku w wyższych warstwach narodu, później w coraz szerszych, a dziś w wielkich masach, to nie możemy wytłumaczyć tego objawu tylko brakiem łącznika między rodzicami a dziećmi, bo w masach mało który ojciec na wsi, czy w mieście coś ze swego doświadczenia życiowego, coś z poznania życia zbiorowego mógł, czy umiał dzieciom przekazać. Ale wchodzi tu w grę brak instytucji, a przede wszystkim brak szkół, których sposób wychowywania i nauczania i sposób kształcenia umysłu był ten sam, choćby przez dwa pokolenia. Z zadrością dowiadywałem się od swoich dzieci kształcających się zaraz po wojnie u Benedyktynów w Belgii, że zarówno ich ojcowie, jak i dziadkowie kształcili się w tej samej szkole. To samo można spotkać w Anglii. Ale i francuskie Lycées niezależnie od ducha, jaki w nich panował, niezależnie, czy w salach szkolnych wisiał krzyż, czy był z nich usunięty, kształciły i wychowywały ludzi o tym samym trzonie moralnym, pojmujących wolność i równość na ten sam sposób, gruntując w młodych umysłach te same zasady pojmowania uczciwości i sprawiedliwości. Pod względem kulturalnym, cywilizacyjnym, pod względem etyki w po-

stepowaniu, pod względem pojmowania i pełnienia służby narodowej, Francuz z początku obecnego stulecia, to ten sam typ człowieka, jaki się wytworzył po rewolucji.

Wystarczy porównać te fakty z tym, co u nas miało miejsce, choćby w naszej własnej rodzinie. Dziad mój i jego bracia kształcili się w szkołach Pijarskich, a później w szkołach wojskowych w Warszawie.\* Ojciec mój miał początkowo francuskiego Abbe, który nie znał, rzecz prosta, języka polskiego, a jak ojciec zaznacza w pamiętnikach, posługiwał się dla nauki religii katechizmem, będącym pod indeksem, później ojciec ukończył instytut szlachecki w Wilnie, a wreszcie uniwersytet kijowski; ja zaś gimnazjum i politechnikę ukończyłem w Rydze w niemieckim języku, a później pojechałem na uniwersytet w Bonn. Wszyscy trzej uczyliśmy się tyłu obcych rzeczy, tyłu fałszów odnośnie spraw najważniejszych, bo historii własnego narodu i stosunków politycznych w nim panujących, czyli wychowani byliśmy na ludzi całkowicie niepodobnych do siebie, — że to zrozumieliśmy jest, że musieliśmy budować mosty między sobą, mosty i łączniki między światem pojęć jednego i drugiego pokolenia. Ojciec musiał pracować nad sobą, aby przyswoić sobie i zrozumieć za jaką myślą polityczną szedł jego ojciec, już w 21 roku życia wstępujący w bój, jako porucznik 5 pułku ułanów, a później borykający się z ciężkim losem przez lat 60. A przecież ja, wychowanek niemieckiej pedagogii i będący pod wpływem nauki o bezpłodności wysiłków, które myśl ludzka wydaje z siebie, a których wola nie umie należycie pokierować, musiałem mieć inne wyobrażenie od własnego Ojca o tym, co czynić i jak czynić należy.

\* Dziadek mój zostawił książkę do nabożeństwa, w której zapisywał ciosy, które go dotknęły. Jest to wzruszająca litania wspomnień, cierpienia i tulactwa przez pół wieku. Jeszcze w dwadzieścia lat po powstaniu 30 roku wjazd w granice Kr. Polskiego był mu zakazany.

A ten objaw był przecież zjawiskiem powszechnym!

\*

Historia naszej własnej rodziny, która posiada archiwum, mieszczące dokumenty i opisy o historycznej wadze od początku 16 wieku potwierdza uwagi, które poczyniłem jako wstęp do poznania tych, którzy nas poprzedzili, a których wiek męski przypadł na koniec niewoli Narodu.

Niedarmo wiek 16 nazwała Historia wiekiem złotym Rzeczypospolitej. Był to Wiek wielkich wojowników, wielkich kanclerzy, wielkich książąt Kościoła, wykazujących w działaniu i duże wykształcenie i wielki rozum w sprawach najzawilszych. Ale był to również Wiek dobrych obywateli, pierwszych dziecięcych ustaw o wolności obywateli. Nie byli oni, już, jak się wyraża historyk, pijani wolnością, ale nią przejęci. Byli oni wychowani w surowości i czystości obyczajów domowych. One to rodziły cnoty, którymi jaśniały domy zarówno możnych panów, jak i szlacheckiej szlachty Rzeczypospolitej. W domach wyrabiała się charakter i rycerskość. Rycerskość trzeba zaliczyć do cnot, bo działała ona i podczas pokoju, dawała powagi, wzbudzała posłuch i w ten sposób działała wychowawczo. Później zastępuje ją bitność, żądna chwały oręża, ale również i zdobywcy i lupni i nie mająca już wychowawczego wpływu.

Piękny przykład charakteru i rycerskości daje ks. Stefan, któremu dwóch synów ginie na polach walki, trzeci umiera, jak pisze Paprocki „z upływu krwi, wylanej przez lat 17 w obronie granic Rzeczypospolitej”. Ks. Stefan jest gorliwym wyznawcą wschodniego kościoła, rzuca przekleństwo na swych potomków w razie gdyby wiarę przodków porzucili, ale jednocześnie głuchy jest na podsepty Chmielnickiego, kuszącego go widokami na udzielne Księstwo Ruskie. A to dlatego, że jak sam pisze, uznaje nad sobą tylko

Króla polskiego, któremu na wierność przysięgał. Nie poddaje się, pomimo, iż mu Kozacy zajężdżają włości i majątności równają z ziemią. Ale już jego wnuk przyjmuje wyznanie katolickie i choć daleko mu do cnoty i charakteru Dziada, otrzymuje kasztelanję. Zakon Jezuitów, który w czasie Unii nie dopuszczał, aby wybitni zwolennicy kościoła wschodniego otrzymywali godności senatorskie, przestaje oponować. To też dostojęstwa poczynają się sypać, przechodzić z ojców na synów, a obdarowywani zapewniają króla w Warszawie, że ma w nich niezłomnych i oddanych mu ludzi. Jeszcze się pojawiają w 17 i 18 wieku rotmistrz królewscy, stojący na straży granic Rzeczypospolitej, ale już coraz więcej spotykamy kasztelanów, senatorów, posłów na Sejm Rzeczypospolitej, zalecanych na te stanowiska z Warszawy, jako ludzi rozważnych i umiejętnych.

Gdy w ówczesnych pojęciach obrona ziem Rzeczypospolitej i usuwanie najęźdźcy przestały być rozumiane, jako ta naturalna wrodzona powinność obywateli i przez to samo przestała być przekazywaną z pokolenia na pokolenie, a naodwrot, zamigotał blask przywilejów, godności i dostatków, o które można było się wystracać inną drogą, a nie koniecznym trudem wojennym, ofiarą krwi i mienia, a w dodatku, gdy się stało wiadomem, że i król potrzebuje poparcia i dba o zwolenników, to na miejsce dawnej, dobrej szkoły obowiązków względem Ojczyzny, pojawiła się zła szkoła w postaci złego przykładu. A ten zły przykład szybko przeżarł zdrowe pierwiastki o honorze, zniweczył pojęcia o ambicji rodowej, osłabił poczucie świecenia przykładem. To też życie, mowa i czyny ludzkie nabrały cech sztucznych, fałszywych, z których wybija się na plan pierwszy niepoahamowana żądza znaczenia.

A to, rzecz prosta następnych pokoleń nie wychowywało. Gdy się okazało, że na dworze Augustów, a później, że na obiadach czwartkowych, mile są wi-

## NA WOZIE I POD WOZEM

16

dziani ludzie strojni i dowcipni, poczęto wyjeżdżać do Paryża nie tyle po wiedzę, ile po oglądę, aby wrócićszy mieć bliższy i łatwiejszy stosunek z Królem i jego dworem.

Wiek 19, to jakby odrodzenie uczuć narodowych. Czyn ks. Antoniego, targowiczanina, który obdarzony wymową i nieprzeciętnymi zdolnościami politycznymi, ale jako posądzony o tajną umowę z cesarzową Katarzyną, ginie na ulicach Warszawy, wstrząsnął widocznie sumieniem rodziny, bo w szkołach wojskowych Księstwa Warsz. kształci się siedmiu Czetwertyńskich. Pięciu służy wojskowo, choć pochodzą z Podola i grozi im wszystkim konfiskata majątku. W historii upamiętnia się Janusz, uczestnik sprzysiężenia Piotra Wysockiego, kapitan artylerii, zdobywca arsenału w dniach rewolucji listopadowej, nagrodzony, jako czwarty, kolejnym krzyżem Virtuti Militari, adiutant Gen. Skrzyneckiego, później wędrujący z oddziału do oddziału, ostatnio dowodzący artylerią w korpusie Giełguda. Wypchnięty za granicę, emigruje do Tarbes we Francji, aby tam w wieku lat 32 umrzeć z żalu i tęsknoty za Ojczyzną.\*

W wojnie polsko-rosyjskiej przyjął udział ks. Kalikst mój dziad jako porucznik 5 pułku ułanów. Brał udział jako porucznik 2 pułku ułanów w Borys, porucznik 2 pułku ułanów został aresztowany przez rządy rosyjski na Podolu i wywiezieni do Wiatki, skąd wrócili dopiero w r. 1833.

Tak samo było i w roku 1863. W konspiracyjnych zebraniach, odbywanych w Warszawie w latach 61 i 62 przyjmuje udział pełna zapala i ofiarności Ka-

\* Do archiwum naszego otrzymaliśmy niedawno od wnuka emigranta p. Czulowskiego, zamieszkałego w Tarbes, treść przemówienia, wygłoszonego na pogrzebie Janusza Czetwertyńskiego przez przedstawiciela zarządu Miasta Tarbes w r. 1835. Zarząd Miasta postanowił dla uczczenia pamięci człowieka, który walczył o wolność ojczyzny swojej, oddać darmo plac na cmentarzu, zwolnić w dzień pogrzebu dzieci ze szkół, aby uczestniczyły gremialnie w uroczystościach pogrzebowych i „uczły się pełnienia wiernej służby ojczyźnie”.

milla ze Stadnickich Edmondowa Czetwertyńska. Nie waha się ona ofiarować dla spraw ojczystych 2 swoich starszych synów: 18-letniego Olgierda i 15-letniego Witolda. Wysyłani są oni przez nią, jako kurierzy na Wołyń dokąd przewożą instrukcje, polecenia i inne dokumenty. Obydwaj są przyłapani na krótko przed wybuchem powstania i, jako małoletni wysłani do rot żołnierskich na Kaukaz, aby, jak się wyraża gen. gubernator Kijowski „wyplenić z młodych książęcych główek pierwiastki buntu”. Tam przebywają długie lata i wracają do kraju. Olgierd w r. 1870, a Witold w 1878 r. W tym samym czasie na widownię działają politycznych występuje córka ks. Leopolda Czetwertyńskiego, sławna z urody i uroku osobistego i zdolności muzycznych Janina Czetwertyńska, która po nieudanych próbach interwencji dyplomatycznej na dworze cesarskim w Paryżu w 1861 i 1862 na rzecz Polski,\* wraca na rodzinne Podole, pisze płomienny manifest do „braci szlachty”, wzywający ich do odzyskania ich dla sprawy polskiej. Z początku rząd rosyjski toleruje jej działania, uważając, że nie jest groźna i traktując pomysły księżniczki, jako dziecinne zabawki. Ponieważ jednak ubiera się ona w strój powstańczy i konno poczyna objeżdżać wsie obiecując ich mieszkańcom, że zostaną wkrótce obdarowani

\* W archiwum rodzinnym przechowuje się list ks. Janiny pisany do mego Ojca i Dziada z Paryża z datą 19 III 1862, w którym donosi, że już dwa razy rozmawiała o sprawach Polski z Cesarzem Napoleonem III i że tenże za każdym razem potwierdzał, że napisał list do Cesarza Aleksandra II, doradzając mu przychylnie zatwierdzenie sprawy polskiej i zaspokojenie słusznych żądań Polaków. Donosi następnie szczegółowo o wszystkim co się w Paryżu robi na rzecz Polski. W końcu listu jednak dodaje następujące uwagi: „Robimy to co można, jednak ufajmy przede wszystkim Bogu i sobie samym. Możecie ogłosić mój list, jako list otwarty do rodaków. Nigdy nie tałam przed nimi tego co czułam i namyślałam uczynić. Nikt nie ma prawa rozkazywać memu sumieniu i naofiarować życia i mienia zasłużyć na to mianno. Wierna Wam do grobu. Janina.”

przez obywateli, zostaje areztowana i wtrącona do Żytomierskiego więzienia, gdzie przebywa blisko sześć miesięcy. Do tego samego więzienia przetransportowani zostali w roku 1864 Ojciec mój Włodzimierz i jego brat Ludwik. Przebywają w nim, a częściowo w Łuckim blisko dwa lata. Obaj zostają skazani: Ojciec na 8 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie na Syberii, a Ludwik na osiedlenie w Penzie. Ludwik już wówczas był od roku żonaty, wyjechał na wygnanie z żoną, która go opuścić nie chciała. Z wygnania nie powrócili ani on ani ona. Oboje zmarli w Penzie na gruźlicę płuc. Zgon ich nastąpił w parę dni jednego po drugim w warunkach niezwykle tragicznych w roku 1867.

Ojciec wrócił z Syberii w roku 1867 na skutek starań, czynionych przez jego krewnych z ówczesnej bardzo licznej linii Czetwertyńskich prawosławnych.

Ojciec miał żelazne zdrowie, nie tylko zniósł wszelkie fizyczne trudy i udręczenia, ale i moralne. W pierwszym liście, pisanym do ojca, już z miejsca swego pobytu na Syberii jest wzmianka, że etap około 150 wiorstw zrobił on i zesłani towarzysze pieszo, bo „żandarm okazał się bardzo złym człowiekiem” i, „choć należały się nam podwody”, powiedział „że ich nie da, bo on wie lepiej, jak kto inny, w jaki sposób oduczyć Polaków od buntu”. Wszelkie upokorzenia, których nie było brak, tak samo, jak i ciężkie roboty w warzelni soli zniósł cierpliwie i nawet pogodnie. Ulaskawienie było tak wielką niespodzianką dla niego wobec treści wyroku i możliwości spędzenia na Syberii długich i najlepszych lat życia i taką mu przyniosło niewysłowioną ulgę, że przesłoniło całkowicie bóle i cierpienia moralne tych kilku lat, spędzonych na Syberii.

To uczucie przebija się w pamiętnikach i przebijało się stale w opowiadaniu przygód najrozmaitszych, które go na Syberii spotkały. Nie pamiętam, aby choć raz w opowiadaniach, które się słyszało tyle razy

i z których ucho dziecka starało się wyłowić chwile, w których wielkość ofiary, czy bohaterstwo czynu mogło by mu się przedstawić w całej krasie i uroku — aby Ojciec starał się dzieciom to w tej formie, czy choćby kolorystyce przedstawić. Odwrotnie, jakby umyślnie, opowiadania jego były najzupełniej pozbawione tego właśnie dźwięku o jaki dziecku chodziło. Nie było w nich żadnego akcentu, który by ten okres z jego życia był nam przedstawiony, jako złożony w ofierze sprawie ojczystej. Ale tak samo było i później, kiedy dorastaliśmy. Wszystkie opowiadania Ojca były żywe i interesujące, bo za każdym razem przypominał sobie Ojciec nowy, nieznanymi szczegółami. To samo było, gdy to czynił w gronie znajomych na najprzeróżniejszych zebraniach, które w domu rodzicielskim się odbywały.

Ale tak samo, jak nie było akcentów, podkreślających patriotyzm jego czynu lub podnoszących tenże na wyższy poziom, tak samo i trudno było doszukać się charakterystyki politycznej wypadków, w których sam przyjmował udział.

Nie było nigdy analizy skutków, wywołanych przez te wypadki. Nie było przedstawiania ich całokształtu dla zrobienia ogólnego rachunku strat i zysków narodowych. Wyglądało to tak, jakby płynęło z przekonania, że ogół może obchodzić tylko sam goły fakt że jedni ginęli, drudzy tracili mienie, lub, że reszta, wskutek tych wypadków rozpraszała się po szerokim świecie. Wpływało to z przekonania, że historia i tak to zapisze tymi samymi głoskami, jakimi zapisała czyny szwoleżerów, jak zgon Ks. Józefa, jak walki o Olszynkę Grochowską i inne chwalebne czyny Polaków w ich porzobiorowym życiu.

Ale nie tylko w gronie rodzinnym, czy towarzyskim, ale i w gronie kolegów sybiraków, między którymi byli nie sami wygnañcy, ale i czynni powstańcy, jak np. Naczelnik Oddziału Podlaskiego Roman Rogiński, który często bywał u Ojca i którego piękna

twarz pamiętam doskonale, treść rozmów miała podobny charakter. Najczęściej, a nawet prawie wyłącznie, zebrania wyczerpywały wspomnienia o zmarłych, o zaginionych, a przede wszystkim o potrzebujących pomocy. Zanim zostało utworzone Tow. Pomocy Uczestników Powstania, którego Ojciec był pierwszym prezesem, urządzano dorywcze składki, upewniano kolegów, mających stałe zajęcia do zbierania wiadomości i do kwestowania na rzecz licznej rzeszy biednych, pozbawionych środków utrzymania. Naprawdę nadstawiałem ucho i uwagę, aby nie uronić choćby jednego z tych rozmów. Marzenia moje o wysłuchaniu opisu bitwy, czy potyczki zwycięskiej, czy też opowiadania jak to było, gdzie się było i za co się cierpiało, ani razu nie zostały zrealizowane.

Później, gdy już zacząłem się zastanawiać dlaczego, jeżeli nie ma opisu, dlaczego nie ma obrazu, w którym by wyobraźnia dziecka mogła się zatopić tak, jak się zatapiała w Matejki „Pochodzie Polski”, w „Lituanii” czy „Polonii” Grottigera, a choćby w Brandtach i Kossakach, — to zrozumiałem, że obraz to świetny wyraz pięknych czynów, a nauka dziejów to nie wyraz, to wytlumaczenie, to ich poznanie. Pojąłem również, że obrazy zdobiją ściany, a historia winna ozdobić i wzbogacić umysł i winna u c z y ć przede wszystkim, a nie zdobić.

Mam wrażenie, że ci siwowłosi weterani nawet nie dbali i nie starali się, aby ich czyn był pouczający. Raczej pragnęli wyrazić go w formie wzoru miłowania Ojczyzny i gotowości ofiarowania jej samego siebie, a nie jako przykład politycznego czynu, który, jak sami przyznawali, był bez widoków powodzenia, był lekkomyślnie podjęty i lekkomyślnie wykonany.

Jeszcze silniej i wyraźniej zaczął się w moim umyśle układać wpływ powstania na jego własnych uczestników, gdy zaczęliśmy z Ojcem jeździć prawie co

roku do Woronczyna, majątności dziada mego Ojca Jen. Kropińskiego, a miejsca urodzenia i wychowania Ojca. Ojciec pokazywał nam pokoje zamieszkałe przez Generała, pokazywał mi wierszowaną korespondencję, którą niewidomy pod koniec życia Generał utrzymywał między pokojami, zamieszkałymi przez córkę i wnuków a swoim własnym. Woził po okolicy i pokazywał miejsca, gdzie przed ćwierć wiekiem żyło i mieszkało dwadzieścia kilka szlacheckich rodzin, sąsiadujących z Woronczynem. W czasie, gdyśmy te okolice zwiedzali, zostało ich tylko trzy! Resztę zmiotła z powierzchni ziemi burza dziejowa wraz z ich właścicielami, z domami, z ich rodziną i z tym wszystkim, co jako dorobek wieków był tam nagromadzony, choćby przez to tylko, że ludzie trwali na tych ziemiach, a kultura, chociaż była kulturą jednej warstwy, nadawała całemu krajowi i polski zewnętrzny wygląd i polski charakter i polski urok. A w tym tkwiło źródło mocy dla przyszłej Polski.

Gdy znikły z ziemi domy i ludzie, znikł wraz z nimi dorobek wieków. Kraj stał się inny, zaginął w nim ten pierwiastek ducha i tradycji, który człowieka poza poczuciem posiadania własnego kawałka ziemi wiąże z krajem, jako miejscem tworzenia się historii, tworzenia Narodu, a częstokroć historycznym miejscem jego zmagania i bohaterских czynów. Widok tych okolic, gdzie się wzrosło i wychowało, a tak całkowicie odmienionych, z których wszystkim czelustkami widniało widmo skutków klęski dziejowej, czyniło na Ojca każdorazowo wielkie wrażenie. Kto umiał parzeć, ale i dostrzegać, a to potrafi najlepiej syn tej ziemi, ten widział dobrze, że klęska była przez to bolesna, że nie mogła być odrobiona. A to dlatego, że ani ta ziemia nie była polską, ani ten lud nie był polski, a tylko kultura polska i ten polski zdobywca w postaci Polaka, który się tam był przeniósł, tam uczył uprawiać i zbierać, tam utrzymywał moralną

władzę, tam stworzył i utrzymywał jeszcze pół wieku po rozbiorach polską sprawę w całym jej dawnym znaczeniu. Stawała ona przed Ojcem w całym swoim groźnym, a rzeczywistym wyrazie. Stawała przed oczyma, ale również przed jego sercem i przed sumieniem. Ojciec jeździł do Woronczyna stęskniony doń, aby ujrzeć kraj, okolice i ludzi, których kochał całą duszą. Wracał stamtąd jakby zmęczony ich obecnym widokiem, jakby upokorzony sam na duchu widokiem miejsca, gdzie można było jeszcze gospodarować jak w swoim kraju, gdzie można było uprawiać rolę, ale już wykluczona była uprawa ludzi i gdzie uprawa sprawy polskiej jako takiej, była wykluczona. Stawał przed oczyma Ojca Wołyń Kolałajaja, Czackich i Ledóchowskich, Wołyń z opowiadań Gen. Kropińskiego, w którego domu w Woronczynie gościli przyjaciele z Towarzystwa nauk, gdzie gościł ks. Adam, odważnie jenniając się staremu przyjacielowi za liczne jego pobyty w Puławach. Równocześnie stawały Ojcu przed oczyma dawniejsze czasy z przed 30 roku w postaci dokumentów, które Ojciec zbierał do archiwum rodzinnego. Uprzytamniały się Ojcu w pamięci urzędy polskie i szkoły polskie, a czasy te uprzytamniały się na tle tego stanu rzeczy, który nastąpił po 30 roku i który te wszystkie twierdze i warownie polskości w tym kraju usunął. A jednocześnie widział trwonienie nadwątlonych fortun przez życie hulaszcze, poświęcone przede wszystkim zabawom i uciechom podupadłych na duchu synów zasłużonych rodziców 30 roku. Nie wątpliwie ten sam objaw, jaki nawiedził dawne ziemie polskie po rozbiorach i wojnach napoleońskich nastąpił i po roku 30 wskutek zmarnowania i wyginiecia ludzi najlepszych i najbardziej wartościowych. Pozostały umysły płytkie, charaktery słabe, które poddawały się stosunkom.

Ojciec był około 10 lat, po powrocie z Syberii, pod dozorem policji. Musiał meldować się i prosić o po-

zwolenie na każdy swój wyjazd z domu na wsi.\* Dla tych powodów wyjazdy jego do stolicy były rzadkie. Dopiero w roku 1884 został wybrany do władz Tow. Kredytowego Ziemińskiego, które to Towarzystwo reprezentowało, z braku innych, ówczesne ziemiaństwo Królestwa Kongresowego, jako radca Dyrekcji Główniej z Okręgu Siedleckiego i odtąd częściej do Warszawy wyjeżdżał i częściej w niej przebywał. Początkowo czuł się na gruncie warszawskim nie swojo. Poza kolegami z wygnania i z rodziną nie utrzymywał bliższych stosunków z nikim. To pierwsze dwudziestolecie po powstaniu styczniowym było jednym z najcięższych. Rząd rosyjski próbował wówczas wyzyskać polityczne skutki powstania dalej, aniżeli początkowo zamierzał. Społeczeństwo polskie było tak rozbite i przygnębione, że nie dawało prawie żadnego oporu zarządzeniom władz, i poddawało się biernie rozporządzeniom, które Królestwu Polskiemu odbierały resztki pewnej politycznej odrębności. Zaczęto od usuwania urzędników Polaków, Polski język powoli zniknął z urzędów, ze szkół, z aktów cywilnych, a później nawet z instytucji publicznych, mających autonomiczny charakter.

Gospodarczo Królestwo Polskie było wyzyskiwane na korzyść guberni i cesarstwa. Rozwijał się przemysł dzięki olbrzymiemu i nienasyconemu rynkowi odbiorczemu, jakim była Rosja, oraz dzięki niskim zarobkom wypłacanym robotnikom, których uboga wieś polska za każdą cenę dostarczała. Przemysł ten jednak powstał był na gruzach polskiego stanu posiadania i miał zarówno on, jak i handel i banki silne oparcie i wpływy rządu w Petersburgu. Wpływy te zdobyte zostały bardzo łatwo. Podyktowane zostały

\* Dziwnym zbiegiem okoliczności u samego schyłku życia to samo zarządzenie spotkało go ze strony Niemców. Przez ostatnie dwa lata wojny nie wolno było mu wyjechać się z Milanowa bez specjalnego pozwolenia, o które musiał ubiegać się w Naczelnym Dowództwie Ober-Ostu. Tak go to gniewało, że się 1 1/2 roku z domu nie ruszył i wówczas spisał pamiętniki.

bardzo zrozumiałymi przesłankami, a mianowicie, że jego przedstawiciele i rzeczywisci właściciele to nie Polacy, i że popieranie ich to klin wbity w społeczeństwo polskie, utrudniające mu organizowanie się polityczne i, że ci pseudo-polacy przemysłowcy to naturalny wywiad dla uzyskiwania wiadomości, co polskie społeczeństwo myśli i co zamierza robić.

Ten rozwój przemysłu pozostającego w rękach, jak się wyraziłem pół-Polaków, miał zgubny wpływ na bardzo wielu przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Poczęto ich wciągać do tych finansowych i przemysłowych instytucji w charakterze członków rad i zarządów. Nazywało się to polszeniem instytucji, lub zapoznawaniem społeczeństwa polskiego z mało znanymi mu dotychczas gałęziami gospodarstwa narodowego. W rzeczywistości było to wyłącznie tylko przykrywaniami nazwiskiem polskim, instytucji, które na Polakach zarabiała, ale bynajmniej interesom polskim nie służyły.

Na tych Polakach, a za nimi na ogół, miało to wpływ bardzo ujemny. Wyrobiło to w nich zmysł praktyczny szukania i osiągnięcia zarobku, ale nie osiąganego własną pracą, a więc nierzetelnego. Wyżłobiło to drogę do materializmu, nauczyło uganiać się za finansowymi korzyściami i w nich widzieć cel życia. Brak prawie powszechnych studiów politycznych, pogłębiających umysł i pozwalających na rozpoznawanie istoty polityki rządu rosyjskiego względem Polaków, sprawił, że całokształt sprawy narodowej zanikł, że go nie tylko powszechnie, ale nawet w umysłach ludzi produjących, ludzi, których opinia była miarodajną, nie było, że się „pojęcie Ojczyzny kurczyło w sercach”. Rząd rosyjski zreszcie wpoił w ugodowo usposobioną część społeczeństwa, przeświadczenie o konieczności ograniczenia sprawy polskiej do granic zagadnienia miejscowego Królestwa Polskiego i utrzymywał je przez pozwolenie na zakładanie Towarzystw Kredytowych Miejskich, instytucji Wzajem-

negu Kredytu, później jeszcze innych spółek gospodarczych, jak Syndykaty Rolnicze. W ten sposób utrwalalo się przekonanie, że na gruncie realnej pracy gospodarczej polskie społeczeństwo ma duże i szerokie pole działania, do zastosowania swej energii i chęci czynu.

Na tle tych nowych stosunków powstało w Królestwie stronnictwo polityki realnej. Pamiętam, że gdy powstawało, zarzucono mu samą nazwę. Nie kto inny, ale sam Roman Dmowski twierdził w podpisanym przez siebie artykule, że każda polityka i każde polityczne stronnictwo musi mieć realne cele i dla ich osiągnięcia prowadzić realną politykę. Dlatego też wszystkie polityczne stronnictwa powinny nosić ten sam przydomek. Jednakże istniejąca różnica polegała, jego zdaniem, na zbadaniu i przekonaniu, co jest realnym, a co nie. Ten, który swemu Narodowi wpajał wówczas myśli nowoczesnego Polaka, rozumiał, że ustępstwa natury gospodarczej, lub pozwolenie na zakładanie własnych spraw kredytowych i temu podobnych było tylko przykryciem istotnych celów rządu rosyjskiego, a mianowicie chęci skreślenia sprawy polskiej ze spraw bieżących polityki europejskiej.

Dziś wiadomo po latach 40, co było wówczas działalnością realną i skuteczną, a co nią nie było. Należy podkreślić, że mimo wszystko przejawiał się wówczas zdrowy instynkt, który bronił przed wstąpieniem na drogę godzenia się, choćby tylko tymczasowo na istniejący stan rzeczy.

Instynkt ten wewnętrzny posiadał mój Ojciec. Gdy koła obywatelskie poczęły okazywać Ojcu memu specjalne zaufanie, a które to zaufanie wyraziło się później w wyborze jego na prezesa Komitetu władz Tow. Kred. Ziemińskiego i to przeciw synowi margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, starano się pozyskać akces Ojca do grupy polityki realnej, aby go zaliczyć do swojego grona, jako osobę, której wpływ osobisty się rozszerzał, a której i władze rosyjskie poczęły okazy-

wać większe zaufanie, aniżeli komu innemu. Ojciec stale odmawiał i pamiętam, że się zwierzał przede mną kilkakrotnie, że odmawia dlatego, że sprawa narodowa polska w całej swojej rozciągłości, w całej swojej sile i wadze, niedostatecznie kierownikom tej grupy politycznej jest znana. Twierdził, że rozmawiać z władzami winien tylko ten, kto ze swoim społeczeństwem i ze wszystkim, co go nurtuje i w nim się odbywa, ma bezpośredni i żywy współudział.

U ludzi, którzy stanowili jądro późniejszej polityki realnej, podstawowym elementem działania był nie tyle żywy łącznik z Polakami, ile uzyskanie zaufania rosyjskiego rządu. Tym samym wykluczonym było zdobycie zaufania opinii polskiej i poparcia przez nią politycznych wystąpień. To założenie, rzecz prosta, krępowało wszelką inicjatywę na szerszą skalę podjętą. Odbierało siłę przekonania słowu pisanemu, jak i wypowiedzanemu i ograniczało wszelkie wystąpienia wyłącznie do tych dziedzin życia, które wysuwały same władze, uznając je, jako możliwe do przychylnego potraktowania i przyjęcia. Już to samo czyniło nie realnymi wszelkie wystąpienia i odbierało im jakiegokolwiek polityczne znaczenie.

U ludzi prowadzących tę politykę, czy to poruszając sprawy pozostające pod interdyktem rządowym, lub popierając jednocześnie, choćby po cichu rozwijając się pracę patriotyczną, istniał w głębi duszy lęk, aby nie narazić się u władz na zarzut, że mówicie jedno, a robicie drugie i tym samym zamknąć sobie drogę działania.

Ojciec uważał ten pogląd za fałszywy, a w skutkach za niebezpieczny. Pamiętam częstokroć wygłaszaną przez niego opinię, że można zapomnieć i darować własną krzywdę, ale nie wolno, choć na chwilę, zapomnieć o krzywdzie, wyrządzonej narodowi. „Krzywdą, wyrządzoną jednemu z nas winna w każdym z nas znaleźć obronę”. Jest to ustęp z listu pisanego do

jednego ze swoich kolegów z Sybiru, znajdujący się dziś w naszym archiwum.

Podniętę do stawiania sprawy w taki sposób, a nie inny, dawały Ojcu temu wypadki rozgrywające się w latach 80 i 90 w okolicy, którą zamieszkiwał na Podlasiu. Dom milanowski moich rodziców był jednym z tych do którego przesładowani Unici bardzo często się zwracali.

Ludzie, którzy przychodzili z prośbą o radę i wskazówki co czynić, a przede wszystkim o pomoc moralną dla wytrwania, sami byli nieugięci i twardzi. Krzywdy swoje i cierpienia umieli ofiarować Bogu i dawali wszystkim, którzy się z nimi w życiu zetknęli, zarówno piękny przykład, jak i dobrą naukę, jak i w jaki sposób trzeba trwać, aby wytrwać. Matka moja, osoba gorącego serca i duszy, żywo czująca i żywo reagująca na wszystko, co się wkoło niej działo, kierowała się zdrowym i naturalnym instynktem, niemym jeszcze nie nadłamanym i podsycala wzrastający opór tak, że Ojciec mawiał do niej z łagodnym wyrzutem: „Musia sprawi, że znowu na Sybir się dostanę”. Pamiętam, że Matka w tych wypadkach odpowiadała: „Nie bój się, bo pojedziemy razem i to jeszcze w towarzystwie tych oto ludzi”.

Ojciec był niewątpliwie zalekniiony, bo już raz był na Sybirze i już raz przeszedł zarówno zawód, jak i nadłamanie skrzydeł.

Ten pierwszy lęk duszy zauważyłem jako dziecko, zanim zrozumiałem jego genezę. Podczas przesładowania przyszła naraz wiadomość, że przyjechali Kozacy, i że mają łącznie z policją wywozić bardziej opornych ludzi do gub. Orenburskiej z ich rodzinami, a grunta ich i mienie konfiskować. Pomysł ten zrodził się w głowie ówczesnego gubernatora Lubelskiego, który go przedstawił Gen. Gubernatorowi w Warszawie, jako jedyny sposób dla złamania ostatecznego oporu byłych Unitów. Postanowiono plan



ten wykonać i wywieźć około 70 rodzin najbardziej opornych. Wybrano zamkniętych, aby w ten sposób rzucić, przez konfiskatę mienia, strach na pozostałych. Rzeczywiście, jednego późnego wieczoru przyszedł do dworu w Milanowie administrator majątku z wiadomością, że zażądano od niego kilkanaście fornałek dla wywiezienia wybranych w ten sposób rodzin z okolicznych wsi. Przyszedł się spytać co ma robić. Uderzył mnie wówczas zatroskany wyraz twarzy Ojca, któremu się uprzytomniło jego własne przejście, uprzytomnił się trud wywołany właśnie przez przejście piechotą dłuższego etapu, bo konne podwoły, które się więźniom należały nie chciał dać miejscowy komendant punktu i pod wpływem tych wspomnień powiedział do mojej Matki: „Trzeba furmanki dać, bo przecież lepiej, żeby jechali, aniżeli, żeby szli piechotą”. Sprzeciwiła się temu moja Matka, której głos nabrał specjalnej mocy i zawołała: „Nie dam, bo nie chcę pomagać zbrodni”. Pamiętam, jak zaraz potem wybuchnęła głośnym płaczem. Był to objaw tej zdrowej reakcji słusznej w swej osnowie i nie dlatego, aby natura Matki była śmielszą i odważniejszą, ale że nie było w niej tego nadłamania woli przez grozę przejść, które się przeżyło i obraz skutków, jakie własne oczy widziały. Gdy byliśmy z bratem oddawani w 1885 roku do szkół do dalekiej Rygi, odczułem po raz drugi, że chodziło rodzicom nie tylko o to, abyśmy nie przeszli złych szkół, jakimi były ówczesne gimnazja rosyjskie, ale również, aby odsunąć nas od wpływów miejscowych, od możliwości wciągnięcia nas do niebezpiecznych konspiracji.

Dalsze życie Ojca zaznaczyło się tym, że szacunek jaki go otaczał, zwiększał się z każdym rokiem i gdzie tylko chodziło o człowieka, którego nazwisko samo przez się jednoczyło ludzi, czy to w dziedzinie dobroczynności, czy jakiegokolwiek innej, przychodzone go prosić, aby obejmował stanowisko naczelne i kierunek instytucji.

Zaufanie to wzrastało w miarę, jak działanie społeczeństwa nabierało organizacyjnej formy i stawało się intensywniejsze. Zaufanie, którym się cieszył, poczęło obejmować coraz szersze kręgi, a jednocześnie dotarło do władz. U władz mógł Ojciec, pomimo swojej przeszłości politycznej i nienależenia do stronnictwa polityki realnej, które w programie swoim na naczelnym miejscu głosiło porozumienie się z temiż władzami, więcej zyskać tak dla spraw ogólnych, jak i w poszczególnych wypadkach w sprawach osobistych, od ludzi, którzy właśnie do powyższej grupy politycznej należeli. Zaufanie to wyrobił sobie Ojciec tym, że wiadano powszechnie, że każde słowo wyszło z jego ust, było zawsze bezwzględnie prawdą. Żaden argument, który przytaczał, nie był oparty na sztucznych przesłankach. Żadne sposoby przekonywania czy też zjednywania kogokolwiek, a przede wszystkim przedstawicieli władz, nie były urojone. Mówił co myślał i co było istotnym i szczerym jego przekonaniem. Nie tylko ze słów, ale nawet z wyrazu oczu i z całego jego zachowania biła ta moc szczerości, która jest cechą natur kryształowych, a więc takich, których się nie ima, w żadnym wypadku, kłamstwo i którym jest niedostępna hipokryzja. Nie umiał również odmawiać. W tej dziedzinie, wątpię, aby ktokolwiek inny umiał w wielu bardzo wypadkach zdobyć się na takie zaparcie się siebie i na okazanie pomocy w takiej formie, jaką Ojciec wyświadczał.

W życiu polskiego społeczeństwa w okresie przedwojennym od pierwszych lat bież. wieku dorastało do znaczenia i przychodziło do głosu coraz mocniej i częściej nowe pokolenie. Różniło się ono od poprzednich tym, że myśl jego nie wzbijała się pod błękity, odrzucano cierpienia, jako program i drogę do osiągnięcia niepodległości. Czy to było na prawicy społecznej, czy na lewicy, czy to byli ludzie wierzący w socjalizm, czy też pionierzy idei narodowej i pragnący zaszczerpieć ją masom — jedni i drudzy pragnęli dzia-

łać i działanie swoje oprzeć nie na urojonych, ani na nieistniejących i nieralnych podstawach, ale na gruncie, który prędzej czy później obiecywał dojście do celu. Jedni i drudzy stawiali na planie pierwszym pozyskanie dla sprawy narodowej tych licznych mas, z których się składa Naród, a za których dawni bojownicy walczyli i ginęli bez aureoli zwycięstwa, a oni sami cierpieli w nieświadomości za co cierpią i po co cierpią.

Można powiedzieć, że w dziejach Narodu Polskiego, od chwili uchwalenia Konstytucji 3 Maja, nie było myśli politycznej, która by stała się tak powszechnie zrozumiałą, tak trafiła od razu do serc i umysłów, aby się stać od razu moim własnym pragnieniem, moją własną myślą, moim własnym ukochaniem.

Objęła ona i ogarnęła i tych, którzy o niej nic nie wiedzieli i tych, którzy nie umieli lub bali się ją stosować w życiu i wreszcie tych, którzy uważali ją za słuszną, ale za niedojrzałą dostatecznie. Można powiedzieć, że trafiła ona od razu do tych wszystkich, którzy nie szukali wymówki czy usprawiedliwienia ale którym uczciwe serce i umysł poczciwy nakazywały same w ruchu tym przyjąć czynny udział. Lęk czynu i działania szerszego, którym były opanowane dawne krwawiące pokolenie ustąpiło wobec zjawiska, gdzie ludzie szli naprzód i bezbronni i bezinteresowni, nie pragnący i nie wymagający niczego dla siebie, a pragnący wszystkiego dla swego Narodu. Reakcja, która po klęsce zawsze następuje, jeżeli Naród jest żywotny, jeżeli umie się odradzać, choćby z jednego zdrowego pnia, w Polsce nastąpiła żywiołowo. Na nic nie przydały się nadzieje naszych ciemiężców, że Naród jest rozdzielony, że górne warstwy, które dotychczas przodowały społeczeństwu są zmateralizowane, że inteligencja hołduje abstrakcyjnym ideom postępu, że sama przykłada rękę do rozdzielania polskiego społeczeństwa na zwalczające się klasy — uczciwe pojmowanie życia i obowiązków tkwiło silnie w po-

jęciach ogółu i Naród z uporem dbał o zachowanie w sobie tych zdrowych pierwiastków. Nawet ta przymusowa emigracja za chlebem do rozmaitych innych krajów, ta ciężka praca o zarobek i zaoszczędzenie z myślą o powrocie dla dokończenia resztek życia na ojczystej ziemi, przyczyniła się przez poznanie innych stosunków i innych form życia zbiorowego, do wychowania i wykształcenia w szerokich masach zarówno uczuć narodowych, jak i świadomego rozróżniania co dobre jest, a co złe, co skuteczne i celowe dla Narodu.

Ten proces nie był dostępny dla wielu, a przede wszystkim dla tych, którzy żyli dawną tradycją szlachecką bojowania z szablą w ręku, którzy żyli porywami szlachetnymi i wierzyli, że sama ofiarność krwi, sama ofiarność samego siebie, sama bohaterskość porwy starczy za skutek. Szczególnie na dawnych kręśkach Rzeczypospolitej, gdzie dawna historia służyła pięknym przykładem, a nowa się nie wytwarzała, bo dla nowej nie było tych pierwiastków, jakie istniały w rdzennej Polsce, szerzyło się przekonanie, że ponieważ budować na nowych podstawach nie było możliwości, tamtejsze polskie społeczeństwo mogło tylko jedno czynić, a mianowicie to, co robiło dawniej, co umiało robić i tym zaznaczyć, że trwa w jedności z całym narodem.

O ile w rdzennej Polsce, samo otwarcie wrót zagrody szlacheckiej i samo otwarcie serca stwarzały nieraz wielkie możliwości dla współpracy rzetelnej i uczciwej, o tyle na kresach wśród ludności innego języka i innego wyznania było to o wiele trudniejszym zadaniem. Uświadomienie narodowej i religijnej różnicy wymagało się i każdy rok rozdzielał bar-dziej dwór od chaty, ziemianina od chłopca, działaczy społecznych czy narodowych jednych od drugich. Jest zrozumiałe, że ci od wieków trzymający straż na granicy Rzeczypospolitej przekazywali ten obowiązek pokoleniom. Była to ich moralna spuścizna, uzasadnieniem ich pobytu i mieszkania na tych ziemiach,

wykladnikiem ich łączności z Narodem. W rdzennej Polsce poczęły powstawać zagadnienia inne, duch demokracji i reform społecznych jął przeniakać do mózgów. Na tych przesłankach postanowiono stworzyć podstawę oporu przesładowcom, przeciawiając mu nie drużyny powstańcze ale cały silnie zjednoczony i ufający sobie wzajemnie Naród. Na kresach, wszystkie reformy zmniejszały polski stan posiadania i polskie wpływy. Władze państwowe paralizowały wszelkie usiłowania porozumienia się i współdziałania klas społecznych, a nawet umiały to i współdziałania wykorzystywać na swoją korzyść i umacniać idee państwowości rosyjskiej w zabranyim kraju.

Mówił mi Ojciec, że gdy był w moim wieku, i u niego budziła się myśl wybiegająca poza obręb rodzinnego domu i rodzinnych stosunków i niosła go do rozmaitych grup, w których organizowała się młodzież. Za czasów uniwersyteckich silnie przyłąnił do kolegów z uniwersytetu kijowskiego. Opowiadał, że stali mu się oni drugą rodziną, której był pozabawiony, matka jego bowiem umarła po wydaniu na świat drugiego syna, a jego ojciec był w ciągłych rozjazdach, spowodowanych fatalnym stanem interesów majątkowych, po powstaniu 31 roku, tak, że rodzinnego domu nie posiadał i całe swoje dzieciństwo i młodość spędzał po kolei w domach krewnych.

Mówiąc mi o tych czasach przestrzegał przed nie tyle zbliżaniem i współżyciem z kolegami, ile przed pełną wiarą i pełnym zaufaniem do grup młodzieży. Przedstawiał mi przykłady, że sam wielki zapał nie wystarczy, że bardzo wielu miał serdecznych kolegów o gorącym sercu, ale z wielką pustką w głowie, przerzucających się z jednej ostateczności w drugą, umiejących z zebrań o poważnej treści, przyjeżdżać na bale i zabawy, które gen. gub. kijowski Bibikow umyślnie urządzał, ażeby młodzież polską zabawić

i zaprawić ją do hulaszczego życia i tą drogą zabić poważniejsze myśli.

Dziś, gdy tę parę słów kręślę, przypominają mi się słowa Romana Dmowskiego, które tak dobitnie wyjaśniały co jest najlepszą i najtrwalszą spuścizną dla każdego syna, tj. wzór uczciwego życia, uczciwego postępowania, uczciwej służby swoim i swojemu krajowi. Pamiętam, że kiedyś po rozmowie, jaką Dmowski miał z moim Ojcem, mówił do mnie „widzi Pan, o ile jest Pan bogatszy ode mnie i o ile Pan szczęśliwszy, że drogę bezpośredniej przeszłości miał Pan uosobioną w ojcu, a więc kimś o którego może się Pan zawsze oprzeć. ...Ja zaś muszę sobie tę całą drogę odtworzyć, odbudowywać w swoim umyśle, aby tworząc drogę przyszłości, związać ją mocno z tym, co jest poza mną”. Potrzeba, mówił, „wielkiego wysiłku, aby tradycję odbudować sobie w tej rzeczywistości, jaką ona była, aby wziąć, co było w niej dobre i uczciwe i do służby Narodowi zdadne”. „Póki całe pokolenie w całym Narodzie nie będzie dla następnego nauką i przykładem, póty się będzie ciągle wszystko rwało między pokoleniami”. Ojciec zaś twierdził po rozmowach z Dmowskim, że nie znał człowieka, któremu tak całkowicie i bez zastrzeżeń można było zawierzyć. Na wspomnienie tych słów, wypowiedzianych przed 35 laty, przychodzi mi na myśl starorzynska zasada, streszczająca się w słowach: „Czyś dorósł Ojca, czyś go przerósł, to mniejsza; staraj się głównie, aby mu dorównać w cnocie”. Niewątpliwie jest to rozumna przestroga przed fałszem, przed często mimowolnym uwierzeniem w fałsz, przed nieświadomym poddaniem się mu. Instynkt cnoty w polityce tkwi nie tylko w rozumie ludzi, ile w naturze człowieka, któremu wszelka droga nierzetelna jest obca i nieznaną.

Ojciec miał niesłychanie prawą naturę i w tym poczuciu prawości subtelna. Bardzo wyraźnie pojmował, że za to co w życiu zrobił dobrego czy złego, będzie go sądził Bóg, a nie ludzie, a na ziemi nie ludzie

współcześni, ale historia. Zasada dotrzymania słowa, dotrzymania obietnicy, zasada, oddaj coś winien, była przez niego rozciągana na wszelkie wypadki i stosowana w szerokiej mierze. Oddaj dzieciom, oddaj rodzinie, oddaj przyjaciółom i Ojczyźnie? Oddaj nawet nieprzyjacielowi, oddaj hołd wszelkiej zasadzie, oddaj część, jeżeli ci sumienie to nakazuje i za dobre uznać każe.

Kiedys żalił się Ojciec przede mną, że jego najserdecniejszy przyjaciel i kolega z uniwersytetu i wygnania, dr Wacław Lasocki i który do Ojca, po zamieszaniu w Nałęczowie, często pisywał listy, czynił mu wymówki, że w stosunkach z władzami rosyjskimi nie zachowuje dostatecznej godności narodowej. Żalił się Ojciec, bo w swoim sumieniu nie miał sobie nic do wyrzucenia. Nigdy bowiem nie zabiegał w sprawie jakiegokolwiek interesu i to nie tylko interesu osobistego, ale i ogólnego, jeżeli chodziło o interes materialny. Stale, w podobnych wypadkach, odmawiał, twierdząc, że nie potrafi tego zrobić, że zamiast pomódz, może sprawie zaszkodzić. Była w tym jego twierdzeniu część prawdy. Druga część prawdy tkwiła w wewnętrznym przekonaniu, że cały swój kredyt moralny i swój kapitał zaufania winien wykorzystać wyłącznie dla spraw natury publicznej. Ojciec twierdził, że dla podobnych spraw znajduje zawsze mocne argumenty, że czuje, że mówi przekonująco, że może mówić prawdę bez ogródek, a tymczasem w sprawach dotyczących interesów materialnych mówi nieumiejętnie, nieśmiało i bez właściwego akcentu.

Pamiętam, że ten sam, dziś już nieżyjący śp. Wacław Lasocki, mieszkający wówczas w Nałęczowie, został zaproszony na otwarcie jednej z pierwszych szkół rolniczych Centralnego Tow. Rolniczego, opartych o uzyskaną przeze mnie u Stołypina ustawę, która po raz pierwszy pozwalała na wykład przedmiotów w języku polskim, i oddawała kształcenie młodzieży wiejskiej i jej wychowanie C. T. R. Gdy mnie dr Lasocki

ujrzał, zaczął mnie ścisnąć i czule całować, a między jednym i drugim uściskiem mówił: „Jak się cieszę, jak się cieszę Panie Sewerynie, że Pan tak pożyteczne rzeczy zakłada, dużo pożyteczniejsze od tego, cośmy wspólnie z Ojcem pańskim robili”. Ojciec miał również wewnętrzne osobiste zadowolenie z mojej pracy społecznej i często mi to okazywał. Czuł bowiem wewnętrznie, że jest to praca twórcza, że jest ona niezależną od politycznego wiatru czy klimatu, wiejącego z góry i, że pod przykrywką gospodarczych korzyści łączy ona klasy społeczne i wytwarza siłę narodową. Dowód takiego zaufania ze strony Ojca miałem również w latach Wiosny Narodu w Rosji, gdy śp. Adam Krasński zaprosił szereg starszych osób, a również kilkunastu młodych na zebrania w hotelu Angielskim, na którym nie uprzedziwszy nikogo z nas wypowiedział przemówienie na cześć starszego pokolenia. Ponieważ w tym przemówieniu, wypowiedzianym z wielką swadą i kunsztem oratorskim, było oświadczenie o całkowitym poddaniu się młodych, programowi politycznemu starszych i wkroczeniu ich na drogę przez starszych utworzoną, powstałem z miejsca, aby przeciw temu oświadczeniu zaprotestować, twierdząc, że nowe siły powstają, a w rzeczywistości już powstały i działają, a one z trójlojalizmem ludzi starszych, obecnych na zebraniu nic nie mają wspólnego. Przemówienie to, jako nieprzygotowane, wypowiedziałem bardzo słabo i nieudolnie, a ponieważ w zebraniu tym uczestniczył mój Ojciec, miałem niesmak i wyrzuty wewnętrzne, że mógł to moje oświadczenie wziąć do siebie.

Tymczasem, gdy na drugi dzień z samego rana pobiegłem do Ojca, zastałem go w bardzo dobrym humorze i jedyną wymówką, którą mi zrobił polegała na tym, że się nie przygotowałem dostatecznie i że słusne myśli wypowiedziałem tak nieudolnie.

Ojciec nie stanowił wyjątku. Wymieniany przez niego w pamiętnikach stryj jego ojca ks. Dymitr Cze-

twertyński był jednym z najbardziej poważanych i cennionych obywateli wolińskich. Był kuratorem okręgu szkolnego wolińskiego, a jako do seniora rodziny zwracano się do niego powszechnie i z wielu stron o rady i wskazówki. Tymczasem, ani we wspomnieniach Ojca, ani w listach ks. Dymitra, które posiadamy w archiwum rodzinnym, nigdzie nie znajdujemy uwagi, choćby pobieżnej, o tym, co zamierzano zrobić, jakim miał być cel wystąpienia zbrojnego, jaka jego organizacja.

Ludzie zarówno starsi, jak i młodszy, zarówno zwoleńnicy, jak i prawdopodobnie przeciwnicy zbrojnego wystąpienia byli tacy sami, jakimi ich zrodził wiek osiemnasty, a w rzeczywistości, jakimi ich urobiły dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej. Były w nich te same cnoty, ale i te same wady, ta sama niedojrzałość, ta sama przyrodzona lekkomyślność, wielka żądza sławy, jaką mieli ich poprzednicy przez kilka pokoleń.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że w tym czasie w latach 60-tych zeszłego wieku Niemcy już mieli Bismarcka, którego plany mają realizować Niemcy współczesne, to jakżeż bezbronny musi się nam przedstawiać ten nasz Naród polski, opóźniony w dojrzewaniu i przerabianiu się na nowoczesny o 150 lat, jeżeli nie o więcej. Jakżeż zrozumiałym się staje, że na tej ziemi, która prawdopodobnie będzie miejscem przyszłych rozgrywek między narodami, jeżeli nie zaciętych walk — byliśmy od długich lat szeregu, kolonizowaliśmy i osadzaliśmy się z pewną głęboką myślą i polityczną i wojskową, a przez ostatnie wieki nic nie potrafiliśmy zrobić, aby się tam ugruntować, aby stworzyć realną polską siłę. Natomiast kilka pokoleń bawiło się w prorocstwa, legendy, poematy i sny o roli polskiej w tych krajach.

Czytając wspomnienia Ojca, trudno nam zrozumieć gatunek ludzi, którzy postanowili, tak, jak mój Ojciec i inni, przyjąc na siebie winy i narazić siebie na

tak ciężkie kary, jak roboty w kopalniach i dożywotnie osiedlenie na Syberii. Ojciec pisze w swych pamiętnikach, „że śledztwo przedłużało się niezmiernie, był to już bowiem rok 65, coraz więcej osób było aresztowanych i to takich, które z ruchem powstańczym wcale nie byli związane i że postanowiono wówczas, dla przerwania tych aresztowań, rzucających postrach i gnębiących coraz to więcej rodzin, przyjąć na siebie winę i swoją i cudzą”. A więc, jakby przystąpić do wykonania jakiegoś testamentu politycznego, który już był pogrzebany i który już nic dać nie mógł. Tymczasem przyznawanie się do ruchu musiało pociągnąć za sobą, poza represjami, i polityczne skutki, które w pierwszej linii zaznaczyły się w konfliktach majątku narodowego polskiego, w wypędzeniu Polaków z ich siedzib, podcinania ich bytu na tych ziemiach. Wszystkie te względy nie były brane pod uwagę, umiejętność zastanawiania się nie istniała. Potwórzyło się raz jeszcze w historii pragnienie szlachetnych, ponieść ofiarę, złożyć ją na ołtarzu Ojczyzny, aby dowieść że tacy są, jakimi byli, tacy sami, jacy byli ich Ojcowie.

Trudno winić szlachetnych, tym bardziej, że ta szlachetność miała swoisty i nieklamany urok, wzbu- dzała szacunek dla ludzi, jak i dla imienia polskiego.

Z nieubłaganą logiką wyjaśniają się nam przyczyny tego stanu duszy społecznej, jaki zapanował w całej Polsce po wypadkach 63 roku. Nie tylko ostry kurs zastosowany przez rząd rosyjski, ale przede wszystkim rozbiecie polskiego społeczeństwa, upadek jego energii, osłabienie, jeżeli nie zupełny zanik jego woli, upadek moralny i materialny, załęknięcie czynienia czegokolwiek wytworzało znowu przerwę, w której gospodarz kraju i syn polskiej ziemi przechodził do roli ślepego i niemego widza, a niekiedy nawet nieświadomego uczestnika opanowywania własnego kraju przez żywioły obce i nie polskie.

Tak, jak po roku 1830 zagłębienie węglowe wykupili obcy, jak powstały wielkie fabryczne placówki, a faktycznie kolonie obcego przemysłu, obcego kapitału, dla obcych inżynierów i majstrów, tak samo po roku 1863 powstają nowe, obce placówki. Dawniejsze, jak np. cukrownictwo z powodu potrzeby jego reorganizacji i przebudowy, wysuwa się z rąk polskich. Instytucje finansowe są wyłącznie w rękach nie polskich, a ludzie, którzy je założyli w przeciagu paru lat, zgarniają ogromne zyski, z których powstały wielkie, do dziś istniejące fortuny żydowskie. Ten stan marazmu narodowego, strachu, czy nieumiejętności odnalezienia sposobu walki o byt narodowy, a poczynający się pewien rodzaj dobrobytu, który był nowością dla Polaków, silnie zmaterializował społeczeństwo. Prowadził on zupełnie wyraźną drogą do trójlojalizmu, do ułożenia się polskiego społeczeństwa ze wszystkimi trzema zaborcami i wytworzenia w zgodzie z nimi znosnych warunków bytu.

Brak jakiegokolwiek politycznego oporu wytworzył taką sytuację, że rząd rosyjski uznał chwilę za bardzo odpowiednią, aby skasować nawet nazwę Królestwa Polskiego i nadał mu nazwę Kraj Przywiślański. Rუსyfikacja kraju przez szkoły i urzędy robiła postępy nie tylko z nazwy, ale przerabiała umysły i psychikę polską.

Reakcja na ten stan rzeczy nie mogła już wyjść ze sfer posiadających, ani miejskich, ani ziemskich. Klasa społeczna, która dotychczas dostarczała przeważny kontyngent ludzi, po powstaniach narodowych traciła równocześnie najlepszy materiał ludzki jaki posiadała, traciła ziemię, traciła wpływy i traciła zdolność do inicjatywy i do czynu. Klęski wytworzyły nowy typ człowieka napół pogodzonego z losem, wykorzystującego poprawiającą się sytuację ekonomiczną na własnym warsztacie. A ponieważ i ta praca nie była łatwą i wymagała dużego napięcia woli, tym samym oddanie się pracy politycznej, zastanawia-

nie się nad innymi zagadnieniami i studiowanie ich przebiegu było dla ludzi tych niemożliwe. Gdy na przełomie 19 i 20 wieku nastąpiła reakcja, to inicjatywa do tej reakcji musiała już wyjść z innej sfery ludzi, z innych warstw społecznych od tych, którzy dotychczas przodowali społeczeństwu.

O ile propagowany realizm polityczny pojęty i przyjęty został przez sferę ziemiańską, jako dążenie do umiejętniej i trzeźwej pracy na własnym zagonie i wyciąganie z niego realnych zysków, o tyle znowu w sferach robotniczych z jednej strony i młodych działaczy narodowych, rekrutujących się ze wszystkich stanów, realizm polityczny pojęty został, przyjęty i wykonany, jako ruch masowy, a skierowany przeciwko zaborcy.

W tym pobieżnym rzucie oka na kształtowanie się myśli politycznej polskiej przez dwa ostatnie wieki, a kończąc te rozważania na osobach mi najbliższych, których działalność danem mi było badać i analizować, dochodzę do nieomylnego wniosku, że testamentu politycznego, któryby jedno pokolenie przekazywało drugiemu nie było. Nie było w Narodzie, nie było go w grupach politycznych, za jakie można uznać dawniejsze konfederacje 18 wieku, albo grupy polskie, zasiadające w ostatnich sejmach.

Nie skryształizował się on również w umysłach ludzi przodujących wówczas Narodowi. Wymieniany najczęściej ks. Adam Czartoryski, reprezentujący wysoką wiedzę i posiadający rozległe stosunki, zostawił piękne dziedzictwo szlachetności i ofiary. Skazał sam siebie na cierpienia, aby móc cierpieć wespół z cierpiącym Narodem, aby utrzymać czystą, nieskałaną niczym ciągłość wiernej służby Narodowi. Uczynił to, bo wszelki inny rodzaj służby wymagałby zejścia z piedestału i zerwania z tradycją, którą Polska żyła w sercach swych synów.

Ale tak pojmowana i w ten sposób przekazywana tradycja przechodziła do serc, rzecz prosta nie do

wszystkich i wybuchła, gdy była temu sposobność w powstaniach i wszelkich ruchach narodowych. Ciekawym tego dokumentem jest wzmianka Ojca w jego pamiętniku o zamiarze jego jako 19-letniego chłopca zaciągnięcia się do wojsk tureckich podczas wojny rosyjsko-tureckiej, aby móc walczyć przeciwko zabójcy, co zresztą wykonał stryjeczny brat Ojca, Stefan, który do kraju już nie wrócił, a włączając się po świecie był jednym z pierwszych Polaków, którzy osiedli w dalekiej Australii i tam, jako nauczyciel języków długie lata przeżył.

Pomijając skuteczność i realizm samych tych wysiłków, wytwarzały one atmosferę, w której zacieśniał się krąg myśli i utrudniał poznawanie nowych i odmiennych zjawisk w życiu Narodu. Brak ten nie pozwalał studiować tych zjawisk i zapoznawać się z nimi, jako nowymi czynnikami w życiu i rozwoju narodowym. Było to niespornym błędem. Było wielkim i groźnym w skutku zaniedbaniem. Zaniedbaniem dlatego, bo już od początków 19-go wieku w narodach zachodnich powstawał proces wywołujący zmiany w strukturze społecznej i gospodarczej, zmiany, dające narodom tym silniejszą więź narodową i silne podstawy do dalszego rozwoju.

Opóźnienie w rozwoju przypisujemy dziś jeszcze niewoli politycznej i nieposiadaniu własnego aparatu państwowego. Niestety, tak nie jest. Opóźnienie to spowodowane zostało przez naszą własną winę, przez polityczną bezczynność. Najlepszym tego dowodem jest dzisiejsze ubóstwo Małopolski i jej fatalny ustroj społeczny, z jej placówkami zarówno obcego kapitału, jak i obcego przemysłu powstałych w czasie, kiedy interesy polskie, miały swoich oficjalnych przedstawicieli i winny byli mieć swych własnych obrońców polskiej sprawy. Natomiast Wielkopolską potrafiła w czasie największego ucisku stworzyć do pewnego stopnia niezależność gospodarczą, a w każdym razie pewne wyodrębnienie ruchu gospodarczego na

ziemiach polskich spod państwowego aparatu niemieckiego.

Dowodem tego również jest bezpotomność działań Lubeckich, Lubińskich i Sztajnkielewów w początkach 19-go wieku. Ich dalekowidztwo, zakładające instytucje w niespełna kilka lat po powstaniu podobnych instytucji na zachodzie Europy, świadczy, że nawet tam i wtedy, gdy byli ludzie, ogół był tak daleki od pojmowania ich myśli, że dziedzictwo pozostało w instytucji, a nie w umysłach ludzkich.

Za długo ludzie żyli w kontemplacji działań ich przodków, za długo żyli wspomnieniami ich sławnych czynów, aby umysły nie stały się bezczynne i nie traciły umiejętności szukania nowych dróg i sposobów oraz odnajdywania tego, co brak było Ojczyźnie, a co można było mimo wszystko jej dać i dla niej wypracować. Bezczynność umysłu wprowadza i bezczynność serca. Serce chłodnie, bo wielkich wzruszeń nie przechodzi, a na małe nie odpowiada i przechodzi koło nich obojętnie, bo ich nie zna, nie zna bezpośrednio, nie ma z nimi bezpośredniego związku i dotyku. Wydaje mu się, że to rzecz nie bliska i często wyobraża sobie, że jest to sprawa prawie że obca. Sprawa narodowa w tych warunkach nie wyrasta, nie umie wyrosnąć w postaci innej od tej, jaka była przed wiekiem, lub przed laty. Wypadek tyko powoduje, że naraz jaskrawo wybuchła, ale wówczas przedstawia się, jako zjawisko nowe i nieznanne, a przez to również wydaje się być obcym, a nie swoim. Wyraznym tego przykładem było odsuwanie się ugodowo usposobionego społeczeństwa polskiego od wypadków i demonstracji 1905 roku. Jakikolwiek był stosunek polityczny do tych wystąpień, nie można było zapominać, że lała się krew Polaków, że manifestował robotnik polski na rzecz niepodległej Ojczyzny!

W b. Królestwie Polskim tym samym zjawiskiem tłumaczy się, że działalność Lubeckich nie miała na-

stępców, a usiłowania niektórych przodujących ludzi w Tow. Rolniczym w okresie sprzed 63 roku w sprawie uwłaszczenia włościan nie miały dostatecznego poparcia, nie zyskały ogólnego uznania i rząd rosyjski mógł tę samą sprawę załatwić po swojemu i wyzyskać ją politycznie na swoją korzyść.

Wszystkie powyższe względy jasno tłumaczą, że nowe dążenia nie znalazły swych wyrazicieli, i wyznawców w ludziach z tej sfery, z której wychodzili dotychczas obrońcy i orędownicy sprawy polskiej.

Dopiero, gdy znaleźli się budziciele i kierownicy, dopiero, gdy wskazano drogę, znaleźli się naśladowcy, zwolennicy, żołnierze oddani całkowicie swym przywódcom. Najczęściej wystarczało już samo wskazanie drogi i jej oznaczenie. Ludzie dłuższy czas pozostający w bezczynności, jęli się z zapalem imać wskazanej roboty. Stosunki w kraju już były inne, aniżeli w pierwszych latach po uwłaszczeniu. Wyszukiwanie i mianowanie tajnych wójtów narodowych dokonane zostało w prędkim czasie. Świadomość potrzeby współdziałania narodowego, jeżeli nie wszędzie, to w niektórych okolicach już wówczas była bardzo silnie rozbudzona, przede wszystkim w okolicach, zamieszkałych przez drobną szlachtę, a również na Podlasiu z powodu prześladowania religijnego. Jak silne i głębokie zapuściła ona korzenie, niech posłuży fakt, że przy wyborach do Sejmu Ustawodawczego przypominano mi na zebraniach przedwyborczych, że przed 20-tu laty znano mnie, lub słyszano o mnie, jako kolporterze „Polaka” i to wystarczało do wytworzenia atmosfery zaufania. W ruchu tym wielkie znaczenie miały ośrodki miejskie, na czele których stali ludzie wielkiego patriotyzmu, niezłomnej woli i całkowicie oddani sprawie narodowej. Rzecz prosta, że wojna japońska wstrząsnęła wielkim cesarstwem rosyjskim w jego posadach i stała się punktem zwrotnym w polityce jego kierowników. Ale już przed wojną rząd rosyjski przekonał się, że traci zwolenni-

ków, których wyobrażał sobie, że posiada całkowicie po swojej stronie i zrozumiał, że traci grunt dla polityki, którą dotychczas prowadził. Zaczęły się wówczas próby jednania Polaków za pomocą obietnic wyodrębnienia sprawy polskiej do granic Królestwa Polskiego, z obietnicami utworzenia dlań szerokiego samorządu gospodarczego i zmiany praw języka polskiego. W zamian żądano od Polaków uznania, że sprawa polska poza granicami Królestwa Polskiego nie istnieje.

Ale przyszły wybory do pierwszej Dumy Rosyjskiej i wybory te wykazały odwrotnie, że istnieje ona nadal w granicach dawnej Rzeczypospolitej. Rezultat pierwszych wyborów, które odbyły się bez żadnego nacisku ze strony władz dały w Królestwie Polskim wynik potwierdzający, że ruch narodowy wpływami swymi objął całkowicie masy wiejskie i miejskie, a jednocześnie, że ludność Kowieńszczyzny, Wileńszczyzny, Mińszczyzny, Wołynia, a nawet dawnych Inflant Polskich wybrała na swoich przedstawicieli w znacznej większości Polaków, jako ludzi do których miała największe zaufanie.\* Wynik ten był nieoczekiwany dla rosyjskiego rządu i całkowicie zaprzeczal urzędowym sprawozdaniem. Postanowiono też rozpocząć inną politykę, politykę mocnej, ale i umiejętnej ręki, która by rozwiała separatystyczne prądy i próbowała stworzyć nową więź w państwie rosyjskim. Więzią tą miał być nacjonalizm rosyjski, którego syntezę ujął

\* Gdy w roku 1918 zaarrestowany zostałem z rozkazu Sowietu Mohylowskiego przez czerwonych gwardziatów i wywieziony przez nich do więzienia w Homlu, posyłałem prowadzoną przez nich rozmowę, że wkrótce w tych stronach wybuchnie powstanie. Spytałem się ich kóż to będzie powstawać? Odpowiedzieli mi: Polacy. Gdy zauważyłem, że przecież w tych stronach jest mało Polaków, odpowiedzieli mi, że jest ich dużo i że zresztą ogół mieszkańców twierdzi, że ponieważ nie ma już „Cara” przejdą z powrotem pod panowanie Polski. Gdy wyszedłem z więzienia odnalazłem na mapie miejscowości, przez które mnie wieziono. Okazało się, że to były okolice odstąpione Rosji przy andruszowskim traktacie (rok 1667!).



Stołypin w lapidarnym zdaniu, wygłoszonym w domu: „Wam są potrzebne wielkie przewroty i burze, nam jest potrzebna Wielka Rosja”. Poczynający się okres mógł być, gdyby się nie był urwał, okresem dla Polski jeszcze cięższym od poprzednich. Albowiem przy nacjonalizmie rosyjskim nie mogło być miejsca dla polskiego starszego, zaprawionego w walce, tkwiącego silnie w polskiej duszy. Rosyjski miał się dopiero narodzić, lub obudzić z uspienia. Na to potrzeba było czasu, a czasu nie starczyło. Naród rosyjski uległ obcym wpływom, które go rozbroiły i zwięziły.

\*

Jeżeli uważałem za potrzebne dodać te parę szczegółów do wspomnień mego Ojca, to dlatego, że wydało mi się, że bez tych wyjaśnień, pamiętniki mego Ojca pisane dla rodziny, częściowo mające już historyczne znaczenie, nie będą zrozumiałe, tym bardziej dla pokolenia, które urodzone na wolności, dochodzi właśnie do wieku swojej dojrzałości. Chodziło mi, aby właśnie tego rodzaju wspomnienia, nie zabarwione pragnieniem wystawienia sobie samemu świadectwa patriotyzmu, ofiarności, cierpienia, nic nie przekazujące, z największą dokładnością i sumiennością zapisujące to, co zostało Ojcu w pamięci, posłużyły do poznania ludzi z końca 19-go wieku, z najgorszego okresu naszej narodowej niewoli. Zastanowić się przecież należy, że te silne uczucia serdecznej przyjaźni z tyloma ludźmi, a w rzeczywistości prawie ze wszystkimi, których Ojciec w życiu spotkał i z którymi los i sprawa narodowa go związała i złączyła, a której to przyjaźni pamiętnik jest nieklamany wyrazem, pobudziły do poznania sprawy narodowej w jej nowym wyjątku, w jej nowym kształcie, w jej nowym wyjątku. Ojciec okazuje się, w świetle pamiętników jako prawdziwy i rzeczywisty typ Polski przedwojennej, wyrosły z dwóch pokoleń Polski porobiorowej, między którymi nie było łączności, z których żadne nie

pozostawiało ani politycznego testamentu, ani politycznego spadku. Każde wchodziło w życie ze swoją własną wiarą, aby potem, doszedłszy wieku męskiego robić to samo i tak samo.

Musiało to w końcu obniżyć lot myśli Polaków a ponieważ schodzenie w głąb siebie i w głąb swoich było nieznanne, pozostano na powierzchni życia, na powierzchni stosunków, na powierzchni objawów i wypadków, które każdy nowy dzień przynosił.

Zasługą Ojca i jego przyjaciół było to, że przeszli przez życie uczciwie, ale uczciwie i w szerokim, jak i głębokim tego słowa znaczeniu. Co żądała od Ojca i Ojczyzna, czego wymagał kraj rodzinny, bliższa i dalsza rodzina, a przez całe życie i „młodzi przyjaciele, z którymi szedł razem”, jak i starsi, z którymi się zżył i złączył, to wszystko umiał im oddać, oddając najczęściej samego siebie. Dziś, gdy piszę te słowa i patrzę na te oczy, które mam w portrecie przed sobą, a od wyrazu których niniejsze wspomnienie zacząłem

--- mam świadomość, że Ojciec dobrze siebie znał i umiał ocenić sam przed sobą i w swoim sumieniu, co może dać, a czego nie potrafi, do czego dorasta wiedzą, doświadczeniem, znajomością spraw, a do czego nie dorósł. Wieleż to razy uporczywie twierdził, nawet przed dziećmi, że Matka moja zna się lepiej od niego na wielu sprawach, że jest stanowcza i wytrwała, że jest oszczędna i zapobiegliwa, i, że nie ma sprawy, której by nie powierzył jej radzie. To samo mówił mi o wielu ze swoich kolegów z Tow. Kred. Ziemiędygo. Twierdził, że wielu z nich zna lepiej sprawę kredytu długoterminowego od niego, i, że mu wstyd, że nie oni przewodniczą Towarzystwu, ale on.

Ale ta szczerść względem samego siebie dawała mu zdolność orientowania się w tym, co należało zrobić. Ludzie tego rodzaju posiadają i zachowują zdrowy instynkt, przemawiający wewnątrz i kierujący sumieniem i wolą człowieka. Instynkt ten nigdy Ojca nie zawiódł.

Ojciec mój umarł w sierpniu 1918 r., a więc wówczas, gdy trąbki jeszcze nie były odegrały hymnu zwycięstwa, ale gdy Niepodległa Polska zarysowała się już wyraźnie w sercu i stawała przed zamierającymi jego oczyma. W sercu jego, bijącym już słabo, obraz jej odbił się mocnym tętnem i ostatnie wieczory spędzone z dziećmi, nawet ostatni przed śmiercią, przeszły na wyczekiwaniu gorączkowym wiadomości z pola bitew „co się dzieje?” we Francji.

Na pogrzeb stawili się legionści, jako obraz przysłego zbrojnego ramienia Rzeczypospolitej, odprawdzili go na miejsce wiecznego spoczynku, jako powstańca i sybiraka i wieko trumny zamknęło się na zawsze.

\*

Ta niedojrzałość, która się przejawia w naszych poczynaniach i każe, jak na wstępie wspomniałem wciąż poprawiać samych siebie, wciąż zmieniać i naprawiać i która przez to nie potrafiła dotychczas ustalić w Polsce ani wzoru Polaka, ani wzoru pełnienia służby publicznej, ani wzoru instytucji publicznej, winna być zanalizowana, winna stanowić przestrożę, aby poznać dlaczego tak się dzieje.

Winniśmy bowiem pracować nad tym, co się nam dotychczas nie udaje, a mianowicie nad wytworzeniem nowego jednolitego typu nowoczesnego Polaka.

Potrzeba, aby ten nowoczesny Polak zrozumiał, że nie potrzebuje zrywać z tym, co było przed nim. Przeciwnie, że może i powinien związać się z dziełem, z myślami, z trudem poprzedzającego go pokolenia. Przyjdzie mu to łatwo, bo po raz pierwszy od lat bar-dzo wielu oprze się on o zwycięstwo, oprze o trud, który wydał owoc, o pracę, która wydała plon, o siew, który zeszedł i wschodzi w dalszym ciągu w młodym pokoleniu, przerabiając jego serce i umysł. Nie do-strzeżga może jeszcze to pokolenie wschodzącego siewu, nie czuje dostatecznie, że ma w sobie zarodek

przyszłego plonu. Ale, jeżeli nawet nie dostrzeżga, niech wie i zrozumie, że musi pracować nad sobą, aby go w sobie odnaleźć, a broń Boże nie zagubić i nie zwalzać. Niech wie, że musi siew ten wyhodować, a plon albo zebrać, albo przekazać do zebrania następującemu pokoleniu. Niech się nie troszczy, kto zbierze i kogo historia laurem uwieńczy. O to mniej-sza. Byleby plon zebrał Naród! Niech zrozumie, że w najbliższym okresie czasu wszystko, co w organizmie człowieka winno działać, a więc mięśnie, serce, myśl, rozum musi być wprowadzone w ciągłe i nieustanne działanie. Ale działanie stałe, ciągłe, ani wybuchowe, ani odruchowe ale świadome wykonywanej pracy i jej celu.

Do cnoty miłości Ojczyzny dorzucić należy cnotę prawości i uczciwości w słowie i uczynku. Wówczas i myśl potrafi żywiej i głębiej obejmować zagadnienia, które każdy dzień w nowej postaci przynosi.

Już sto lat temu uczył Mickiewicz Polaków, aby zaprzestali dzielić się, mówiąc: Jam żołnierz, a Ty powstaniec, Jam był pod Wawrem i Stoczkiem, a Tyś bił się w lasach.

Dziś również nie dzielimy się, mówiąc: Jam z tego Ojca, Ty z tamtego. Jam z żołnierza a Ty z Obywatela.

Naród nowoczesny winien wołać:

„My wszyscy z tych wszystkich, którzy byli przed nami”.